

nowa
proza
polska

Michał
Komar
Wtajemniczenia



Świat Książki

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).

Projekt okładki
Małgorzata Karkowska

Ilustracja na okładce
Na obwolucie obraz René Magritte'a *Georgette*
fot. Corbis

Redaktor serii
Paweł Szwed

Redaktor prowadzący
Ewa Niepokólczycka

Redakcja
Sylvia Frołow

Redakcja techniczna
Lidia Lamparska

Korekta
Elżbieta Jaroszek
Halina Ruszkiewicz

Copyright © by Michał Komar, 2009
Copyright © by Świat Książki Sp. z o.o., 2009

Świat Książki
Warszawa 2009

Świat Książki Sp. z o.o.
ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

Skład i łamanie
Joanna Duchnowska

Przygotowanie
Fabryka Wyobraźni
ul. Bukowińska 22 lok. 12b, 02-703 Warszawa

ISBN 978-83-247-1944-0
Nr 45010

Spis treści

ROZDZIAŁ I

w którym mówi się o omlecie z ostrygami i cnocie sprawiedliwości

ROZDZIAŁ II

w którym mówi się o zupie rakowej, kurczętach po polsku, cnocie męstwa i na dodatek o utrapieniach z czystą substancją

ROZDZIAŁ III

w którym mówi się o konfiturach, ironii, tartach i cnocie szlachetności

ROZDZIAŁ IV

w którym mówi się o dziejowej roli polewki piwnej, obrotach losu i labiryntach

ROZDZIAŁ V

w którym mówi się o cudownych uzdrowieniach, urodzie Antygony i kłopotach Kreona

ROZDZIAŁ VI

w którym mówi się o pieczonych drożdżach, roli przepony w dziejach świata, pięknie współczucia i nędzy litości

ROZDZIAŁ VII

w którym mówi się o niezmierzonej obfitości dzieła Stworzenia

ROZDZIAŁ VIII

w którym mowa o rosołach i im pokrewnych oraz
o cnocie czystości

ROZDZIAŁ IX

w którym mowa o tym samym, co poprzednio

ROZDZIAŁ X

w którym mowa o myślistwie i wielkim ucztowaniu

ROZDZIAŁ I

*w którym mówi się o omlecie z ostrygami
i cnocie sprawiedliwości*

Pan Adalbert P., znany aktor, przy tym zaś człowiek sprawiający wrażenie czytanego, opowiadał towarzystwu o pokrętnym życiu Bena Jonsona (1572–1637), dramaturga. Sporo przy tym poświęcił dowcipu, objaśniając przyczyny, w tym także kryminalnej natury, dla których Jonson został katolikiem, by po dwunastu latach powrócić na łono anglikanizmu. Szlachetny ton tej opowieści wzbudził w Pani E. ciekawość oraz pragnienie zawarcia bliższej znajomości z człowiekiem, który – jak powiedziała – zachował dobre obyczaje mimo wieloletniej pracy na scenie. Czy sama to wymyśliła? Nie wiem.

W czasie śniadania wydanego na cześć artysty Pani E. pragnęła porozmawiać o *Volpone, or the Foxe* Bena Jonsona. Bohater tej sztuki, beżenny, bezdzietny lubieżnik, bogacz, sknera, a przede wszystkim badacz natury ludzkiej, udaje śmiertelnie chorego, by wyłudzić prezenty od znajomych, z których każdy liczy, że zostanie jego wyłącznym spadkobiercą. *Volpone* działa w porozumieniu ze swym sługą, inteligentnym młodzieńcem imieniem Mosca, który – co oczywiste – marzy o zagarnięciu majątku swego pana.

Będę dokładny. W czasie śniadania wydanego na cześć artysty Pani E. pragnęła – jak twierdzi – wyjaśnić tajemnicę dwóch wersów z pierwszego aktu *Volpone, or the Foxe*, a mianowicie:

*This draws new clients, daily, to my house
Women, and men, of every sexe...*

Dlaczego Jonson, miast po prostu napisać o kobietach i mężczyznach, pisze o kobietach i mężczyznach wszelkiej (każdej) płci? Czyżby chciał przez to powiedzieć, że podział ustanowiony przez Stwórcę nie wyczerpuje istoty zagadnienia? Oczywiście, że nie! Nie wyczerpuje!

W osłepiającym świetle celu, do którego dążą Volpone i Mosca – a celem jest bogactwo dające Władzę Absolutną – tracą wartość wszystkie inne rozkosze tego świata: nieważna jest płeć partnera, skoro jest ich więcej niż dwie, nie ma też znaczenia, kogo się kopuluje, uniesienie miłosne zaś zostaje sprowadzone do wymiaru prymitywnej techniki genitalnej. Wte i wewte! – wykrzyknęła Pani E. – *Quelle horreur!*

Zdaniem Pani E. słowa Jonsona każą zastanowić się nad istotą stosunków między starym łajdakiem Volpone i młodym łajdakiem Moscą. Niewątpliwie łączą ich pocałunki i uściski za kotarą, ale ta namiętność ma charakter instrumentalny, jest udawana, nie ma w niej zaciekawienia. To rutynowe, pośpieszne i niedbałe orgazmy, które z jednej strony mają być świadectwem wzajemnej lojalności dwóch łotrów, z drugiej zaś wypełniają im pustkę godzin wyczekiwania na kolejną ofiarę. Przyjemne z pożytecznym. Junacka sprawa. Zupełnie jak u ułanów przed wojną, wiem coś o tym od mego kuzyna Jerzyka, w swoim czasie rotmistrza. Lance do boju, szable w dłoń i tak dalej, jeśli coś panu to mówi. Albo Spartanie. Mówiąc krótko, idzie tu o rodzaj obopólnego gwałtu za obopólną zgodą. Owszem, lubię homoseksualistów. Miło się z nimi

rozmawia i w ogóle. Na przykład mój fryzjer. Są to ludzie delikatni, wrażliwi, czuli na piękno, zadbani. Mają wrodzony szacunek do kobiet. Cenią macierzyństwo, w szczególności zaś kochają swoje matki. Dobrze jest kochać swoją matkę! Ale pedałstwa nie popieram! Ani mi to w głowie! Po prostu źle mi się robi!

Na moje pytanie dotyczące różnicy między orgazmem niedbałym a orgazmem zwykłym Pani E. odparła:

– Każda sfera ludzkiej aktywności, na przykład medycyna, bierki, fryzjerstwo artystyczne, prawo, filumenistyka, budowa dróg i mostów, kajakarstwo oraz seks, zatem każda sfera ludzkiej aktywności wyposażona jest w wewnętrzny zespół reguł, których zastosowanie jest warunkiem osiągnięcia zamierzonego celu. Idzie o techniczno-etyczną skuteczność. Chirurg, który przystępuje do operacji serca, zaniedbawszy uśpienia pacjenta, zaprzecza tym zasadom w dwojaki sposób. Po pierwsze – zadaje pacjentowi nie-ludzki ból. Po wtóre – zadaje ból i tym samym zmniejsza prawdopodobieństwo doprowadzenia operacji do szczęśliwego końca. Nieskutecznie i zarazem nieetycznie postąpiłby tenże sam chirurg, gdyby zachęcony do zapasów miłosnych wstrzyknął mi w trakcie gry wstępnej dehydrobenzperidol, propanidid czy etomidat, że nie wspomnę o fentanylu. Pozbawiona czucia – nie zaznałabym oczekiwanych przyjemności, a i on zapewne też byłby rozczarowany, choć kto wie? Ludzie, w tym także chirurdzy, mają rozmaite potrzeby i marzenia. Ludzie są ludźmi. Mój drugi mąż był lekarzem wojskowym, więc wiem coś o tym. Uważam, że sprawiedliwość i sprawność idą w parze, ale w jaki dokładnie sposób, to trudno powiedzieć. Boże, jak ja wyglądam! Istne czupiradło! Aż wstyd!

Wypowiedziawszy te słowa, Pani E. włożyła futro i udała się do fryzjera. Pod jej nieobecność zdążyłem odkurzyć część biblioteki. Odebrałem też telefon od osoby podającej się za asystenta pana Adalberta P. Powiadomił mnie głosem modulowanym i tonem nader opryskliwym,

że pan Adalbert nie przybędzie na śniadanie z powodu dręczącej go migreny oraz, jak się wyraził, „złapania jakiejś franczy”. Wydaje mi się, że był to sam pan Adalbert, o którym wiadomo, że udatnie imituje głosy rozmaitych osób, słusznie więc mówi się o jego talencie. Ponadto pan Adalbert nie zatrudnia żadnego asystenta.

Tymczasem pękły zawory w kaloryferach znajdujących się w sypialni Pani E. Wezwałem hydraulika. Ten orzekł, że sprawcą nieszczęścia jest poprzedni właściciel domu, który nie wymienił skorodowanych zaworów, przez zapomnienie albo może i przez złośliwość.

W tej sytuacji Pani E. postanowiła zaprosić na śniadanie mecenasa S., adwokata znanego z rozległych stosunków, ostentacyjnej pobożności, nieudolnie skrywanej rozwiązłości oraz znacznej wiedzy o tym, jak wydusić z bliźniego ostatni grosz.

– Skoro jesteśmy przy *Volpone* – powiedziała Pani E. – to Jonson zauważył, że dobry adwokat potrafi w każdej sprawie wypowiedzieć ogrom sprzecznych zdań, aż do ochrypnięcia, ale zawsze zgodnie z prawem. Że potrafi zręcznie rzecz najpierw wywrócić na tę, a zaraz potem na drugą stronę. Że wiąże węzły, by je potem rozplątać. Że radząc iść w prawo, a zarazem w lewo – zbiera złoto obiema rękami, podczas gdy sędzia czyni to jedną ręką, pod stołem, ale nie zawsze. Trudno więc się dziwić – zauważyła Pani E. – że mecenas S. uchodzi za osobę zaufania publicznego. Niech śniadanie będzie skromne, acz krzepiące.

Stosowny wydał mi się omlet z ostrygami.

Cztery jajka wbić do salaterki, doprawić solą i pieprzem, dolać łyżkę śmietanki i ubijać widelcem, aż masa zrobi się puszysta. Rozgrzać masło na patelni. Wlać ubite jajka na patelnię. Smażyć na dużym ogniu bez pokrywy, aż brzegi omletu się zetną. Podważać łopatką ze wszystkich stron, by masa wpłynęła pod spód. Smażyć, aż omlet zarumieni się, potem zsunąć go na dobrze ogrzany talerz.

Przygotować sześć ostryg. Gdy omlet będzie gotowy – ostrygi wraz z płynem z muszli włożyć do rondelka. Doprowadzić do wrzenia i natychmiast zdjąć z ognia. Gorące ostrygi ułożyć na połówce omletu i zręcznie przykryć drugą połową. Pokropić sokiem z limonek. Ponadto: grzanki, konfitura z gorzkich pomarańczy, jogurt z miodem, z serów bleu de Bresse, odrobina roqueforta oraz bleu des Aravis, co do win wahałem się. Może pouilly-fumé od Jean-Claude Chatelaina? Albo lepiej pouilly-fuissé od Daniela Barraud? Zdecydowałem się na to drugie i, jak się to później okazało, postąpiłem słusznie.

Zasiadłszy za stołem, Pani E. przedstawiła mecenasowi S. listę szkód spowodowanych awarią kaloryferów.

– Rzecz dotyka istoty sprawiedliwości. Dom kupiłam za pewną, niebłahą przecież sumę, w głębokim przeświadczeniu, że wszelkie znajdujące się w nim urządzenia są sprawne, wolne od wad, w należytych stanie. W tej sprawie zaufałam zapewnieniom poprzedniego właściciela, tak ustnym, jak i złożonym na piśmie, w umowie poświęconej przez notariusza. Jest pewne, że sprzedając mi dom, właściciel nie działał pod przymusem, z pewnością był i jest przy zdrowych zmysłach, nie był też niedoinformowany.

– Wiem, o kim pani mówi... Znam... – wtrącił mecnas S., przyglądając się ostrzydze i trącąc ją końcem noża, z wyraźną odrazą. – Pan R. to człowiek wielkiej roztropności.

– Także i ja jestem normalna, dobrze poinformowana i świadoma swych czynów – ciągnęła Pani E. – decyzję zaś o zakupie domu podjęłam z własnej woli. Mogłabym, rzecz jasna, ponarzekać na cenę. Była wygórowana. Wygórowana, choć nie przesadna. Wygórowana przez istniejące obecnie na rynku relacje między popytem i podażą, a więc przez warunki obiektywne, na które nie mam wpływu. Ale coś za coś. Do wczoraj mogłam zakładać, że cena domu odpowiada sumie moich satysfakcji z tytułu

bycia jego właścicielką. To chciałam – to mam. Wymiana korzystna dla obu stron. Sprawiedliwa, bo oparta na założeniu równości praw. Nie twierdzę, że ludzie są równi. Nie są. Różnice między mną i panem R. są ogromne, od genów poczynając, na gustach zaś kończąc. Jednakże dobro ogółu żąda, by postępować tak, jak gdyby równość była faktem. Nazwijcie to Prawem Naturalnym, umową społeczną czy prawem pozytywnym! Co mi tam nazwa, co mi tam źródła, boskie czy ludzkie, gdy ważna jest treść. Sprawiedliwe, powiadał Immanuel Kant (1724–1804), jest wszelkie działanie, które pozwala na wolną wolę każdego, aby współistnieć z wolnością każdej innej osoby. Także Arystoteles (384–322 p.n.e.). Ale wracając do Kanta. Gdy go pytano, czy lubi sobie pobaraszkować z jakąś cytatą Gretchen czy dupiastą Helge, odpowiadał, że unika tego zajęcia z przyczyn zasadniczych. A konkretnie? Konkretnie to wysiłek duży, gdy przyjemność krótka. Można więc powiedzieć, że fizycznie leniwy. Ale głowa za to tęga. Z drugiej strony nie wiemy, czy serio mówił, czy też żartował, bo nie dość, że filozof, to z poczuciem humoru. Był pan może ostatnio w Kaliningradzie, dawniej Königsberg?

Mecenas S. ostrożnie przełknął ostrygę.

Na jego twarzy zarysował się grymas ni to rozpaczy, ni determinacji.

– Być może idzie tu o wadę ukrytą – powiedział.

– To znaczy? – zapytała Pani E.

– Nie jest wykluczone, że pan R. nie zdawał sobie sprawy z fatalnego stanu zaworów w kaloryferach. Dobra wiara... Złośliwy obrót losu... Dobra wiara wystawiona na szwank przez złośliwy obrót losu.

– I pan w to wierzy, mecenasie? – Pani E. się uśmiechnęła. – No, z ręką na sercu? On zamalował te zawory kilkoma warstwami farby olejnej. Chciał ukryć! Zamaskować! Dlaczego? – zapytał pan. Bo nic go bardziej nie boli niż myśl, że podpisując ze mną umowę, został zmuszo-

ny do respektowania zasady równości. On, który własne Ja czyni ośrodkiem wszystkiego i który sens życia widzi tylko i jedynie w podstępnym ujarzmianiu innych. Czy mógłby postąpić inaczej?

– Prawda, jest to człowiek roztropny – rzekł na to mecenas S. i sięgnął po konfiturę z gorzkiej pomarańczy. – Czego będziemy żądać?

– Sprawiedliwości! – krzyknęła Pani E. – Niech pan popatrzy na sufit. Na bąble i plamy. Całkowita renowacja sztukaterii. Malowanie sufitu. Wymiana klepki podłogowej. Oraz finansowy ekwiwalent zadośćuczynienia moralnego!

– Z tym ostatnim może być kłopot – westchnął mecenas. – Pana R. widuje się na bankietach rządowych i bankietach opozycyjnych. Jest prezesem licznych fundacji o szlachetnych nazwach. Wydał córkę za prokuratora, którego starszy brat jest biskupem w bogatej diecezji. Dobrze widziany przez media, uchodzi za osobę zaufania społecznego. Przy jego ostentacyjnej pobożności, nieudolnie skrywanej rozwiążności oraz znacznej wiedzy o tym, jak wydusić z bliźniego ostatni grosz, dyskusja o zadośćuczynieniu moralnym nie przyniesie znaczących skutków.

– Więc nie ma nadziei? – zasmuciła się Pani E.

Mecenas S. sięgnął po kieliszek i znieruchomiał, wpatrując się w żółte i zielonkawe plamy zacieków na suficie. Potem uśmiechnął się łagodnie, zlizął z ostrza noża resztkę konfitury i powiedział, że w ostateczności istnieje jeszcze sprawiedliwość wyższego rzędu.

– Opatrzność? – wrzasnęła rozjuszona Pani E. – Nie, panie mecenasie! Nie ma zgody! Jeśli chce mi pan zaproponować zdanie się na wyroki Opatrzności, to musiałabym najpierw mieć pewność, że te wyroki składają się w całość, którą ogarnia ludzki rozum. Mnie idzie o prosty związek między winą i karą oraz zasługą i nagrodą. Proszę o przykłady.

Na to mecenas S. oświadczył, że dobrym przykładem będzie fakt upadku komunizmu. Była zbrodnia? Była! Jest kara? Jest! Co było do udowodnienia.

Pani E. nie dała jednak za wygraną. Oznajmiła mianowicie, że upadek komunizmu jest niczym więcej niż widomym świadectwem upadku komunizmu, sam zaś mecenas jest ofiarą przywileju późnej śmierci, gdyby bowiem umarł w dniu otwarcia przez Józefa Stalina kanału Wołga – Don, to w chwili schodzenia z tego świata musiałby uważać, że komunizmowi dana jest gwarancja wiecznego trwania.

– A czy zna pan, mecenasie, smutną historię kuzyna mego pradziadka ze strony ojca? Młodzieniec pobożny. Cnotliwy. Opiekun ubogich. Asceta z mistycznymi ambicjami. Gdy nagle odszedł w zaświaty, miejscowa ludność opowiadała o pięknym uśmiechu nadziei rysującym się na jego twarzy i intensywnym zapachu róż wydobywającym się z trumny. Na pogrzeb zjechały tłumy włościan i szlachty, szaraczkowej co prawda, zdemoralizowanej zwisaniem u naszej klamki, ale zawsze tłumy. Zaścianek *semper fidelis*. Zanotowano parę objawień i parę niespodziewanych uzdrowień. Pewien niewidomy inwalida wojenny odzyskał władzę w nogach. Wkrótce prosty lud jął zwracać się do Zmarłego o wstawiennictwo w takich bolesnych sprawach jak powódzie, gradobicia, szarańcza, cięża, impotencja, wzdęcie u krowy, dostatek w obejściu sąsiada, przekroczony kredyt u Mośka karczmarza i tym podobne. Rodzina pradziadka podjęła więc nieśmiało, choć wielce kosztowne kroki zmierzające do nadania kultowi – nieoficjalnemu przecież i lokalnemu – pewnych gwarancji instytucjonalnych. Wydobyto trumnę. Po jej otwarciu okazało się, że na zmumifikowanej twarzy nieśczęśnika rysuje się grymas cierpienia. Znanicy orzekli, że został pochowany w głębokiej śpiączce. Odzyskawszy przytomność, przeżył ostatnie chwile w męczarniach tak wielkich, że być może – nie da się wykluczyć – popełnił

grzech bluźnierstwa. Cały pogrzeb na nic. Ekshumacja też. No i gdzie nagroda?

Nie ma wątpliwości, że Opatrzność istnieje i ma swoje prawa, ale rozumowi ludzkiemu nic do tego. Rozum jest wielki, ale w innych sprawach. Owszem, jest serce, które ma własne racje nieznanie rozumowi, serce szukające istoty naprawdę godnej kochania – aby ją ukochać. Po co? Po to, by pojąć, że człowiek jest nie tylko trzcina najwątliwszą, ale i dosyć głupawą. Za młodu lubiłam czytać Pascala (1623–1662) dla dziewczyńskich wzruszeń. Istota ludzka wydana na tragiczne rozdarcie. Jezu! Nawet mnie to podniecało. Na starość odczuwam ulgę, gdy czytam, że nie należy dowodzić rzeczy, które są same przez się tak oczywiste, że nie znajdziemy nic jaśniejszego, co mogłoby posłużyć do ich udowodnienia. Ale gdzie rozum, który pojmie tę ulgę? Żądam ekwiwalentu finansowego!

Mecenas S. zabrał się do serów. Przyniosłem kolejne dwie butelki pouilly-fuissé. Mecenas bąknął coś o piśmie procesowym.

Pani E. zaprotestowała. Żadnych korytarzy sądowych, w których unosi się smród ludzkiego nieszczęścia. Żadnych opieszalych sędziów. Żadnych sekretarek z odrostami. Żadnych znaczków skarbowych z kwaśnym klejem na odwrocie. Jak najdalej od prawa! Stryj mojego pierwszego męża był wziętym aptekarzem i patriotą. W czasie okupacji działał na czarnym rynku. Handlował specyfikami reglamentowanymi. Rodzaj misji – jak mówił. Pomoc potrzebującym. A przy tym wielkie ryzyko. Potem, w czasach stalinizmu, stryj chadzał na pochody pierwszomajowe, powiewał czerwoną szturmówką i wznosił okrzyki, ale pod garniturem nosił włosienicę, ponadto cały dzień pościł. To jednak, o czym chcę opowiedzieć, wydarzyło się w 1945 roku, tuż po zakończeniu wojny. Do apteki stryja wszedł niespodziewanie jego znajomy z czasów okupacji, niejaki Izaak C., z pistoletem w dłoni i bez słowa wyjaśnienia zaczął strzelać. Na szczęście obeszło się bez

ofiar. Po półrocznym pobycie w areszcie napastnik stanął przed sądem. Okazało się, że w listopadzie 1942 roku zapłacił stryjowi sto pięćdziesiąt dolarów w złocie za cztery ampułki cyjanku potasu. W czasie likwidacji getta uśmiercił żonę i dwoje dzieci trucizną z trzech ampułek. Czwarą ampułką – którą przeznaczył dla siebie – zawierała coś, co na pewno cyjankiem nie było. Wada ukryta. Woda. Izaak C. został wywieziony do obozu. Cudem uniknął śmierci w komorze gazowej. Przy życiu trzymała go nadzieja krwawej pomsty. Uważał, że padł ofiarą oszustwa. Uważał, że sprawcą oszustwa jest stryj.

W czasie procesu Izaaka C. stryj zapewniał, że sprzedał mu był cyjanek w dobrej wierze, zgodnie z zasadami rzetelności kupieckiej. Dawał słowo honoru. Przysięgał na wszystkie świętości, w tym na M.B. Częstochowską. Nie wiem, czy mówił prawdę. Wolałabym, żeby tak było. Być może kłamał. Jestem prawie pewna, że kłamał. Lubiałam go. Był przystojny, choć krótkowzroczny. Podglądał mnie, gdy brałam prysznic, a ja nie miałam nic przeciw temu, niech tam sobie patrzy. I potem ta włosiennica pierwszomajowa. Tak go pamiętam. Wiem, że prawo jest bezradne wobec sytuacji, w których trucizna okazuje się środkiem sprawiedliwego ratunku przed dalszym życiem.

Sędzia uznał, że strzelając do stryja, Izaak C. działał był w wielkim wzruszeniu, wypadaloby więc zarządzić nadzwyczajne złagodzenie kary. Izaak C. wyszedł na wolność i wyjechał do Palestyny. Stryj był rozczarowany i rozgoryczony. Uznał, że uwolnienie Izaaka C. jest wynikiem żydowskiej intrygi. W tym przeświadczeniu dotrwał aż do śmierci, która nastąpiła trzydzieści lat potem. Miał piękny pogrzeb, urzędowy, kombatancki, z pocztami sztandarowymi i hymnem narodowym. Było też *Boże, coś Polskę...* I co pan na to?

– Powiedziabym, że to przykład skrajny... – odrzekł mecenas S. – Bardzo smaczny serek. Kozi, nieprawdaż?

– A czyż prawo samo w sobie nie jest skrajnością? Pan przecież z pewnością zna na pamięć kodeks cywilny. Piszą w nim prawodawcy, że właściciel gruntu może wejść na grunt sąsiedni w celu usunięcia zwieszających się z jego drzew gałęzi lub owoców, wszakże właściciel sąsiedniego gruntu może żądać naprawienia wynikłej stąd szkody, oraz że właściciel gruntu może obciąć i zachować dla siebie korzenie przechodzące z sąsiedniego gruntu. To samo dotyczy gałęzi i owoców zwieszających się z sąsiedniego gruntu; jednakże w takim wypadku właściciel powinien uprzednio wyznaczyć sąsiadowi odpowiedni termin do ich usunięcia. Iluż trzeba było kłótni, konfliktów, ataków nienawiści, donosów, zajazdów, linczów, krwawych waśni, iluż nieszczęść ludzkich, ażeby prawodawca zdecydował się na ustanowienie przepisów o tak wysokim stopniu dokładności! To zaś prowadzi mnie do wniosku, że jeśli sprawiedliwość jest cnotą, to prawo jest niczym więcej niż opowieścią o jej troskach i niedolach. Trzymajmy się więc odeń z daleka – powiedziała Pani E., podając mecenasowi dłoń do ucałowania.

– Spróbuję coś z tym zrobić – powiedział mecenas, ukłonił się i wyszedł.

Pani E. powiedziała mi, że omlet był doskonały i dobrze się stało, że podałem pouilly-fuissé. Pouilly-fumé od Jean-Claude Chatelaina zachowamy na lepsze okazje. Mecenas S. jest bez wątpienia prostakiem, ale prostakiem szczególnym, takim mianowicie, któremu spryt umożliwił wyniesienie swego grubiaństwa na najwyższy poziom finezji. Niech żywi nie tracą nadziei!

Jakoż dwa tygodnie później jedna z fundacji pana R. poprosiła Panią E. o wygłoszenie prelekcji na tematy etyczne. Dobrze być moralnym, podczas gdy niemoralnym gorzej. Moralność – tak, niemoralność – nie! Honorarium za wykład znacznie przekroczyło koszty całkowitej renowacji sztukaterii, malowania sufitu i wymiany klepki podłogowej.

– Zaiste – rzekła Pani E. – roztropność, inteligencja i wiedza jako taka czynią sprawiedliwość cnotą piękniejszą niż wschód słońca i zorza wieczorna razem wzięte. Czy pouilly-fumé jest dobrze schłodzone?

Stało się to akurat w dziesięć lat od dnia, jak zacząłem służyć u Pani E.



foto: Elżbieta Lempp

Michał Komar (ur.1946), doktor nauk humanistycznych,
profesor w Collegium Civitas, autor książek, m.in.
*Piekło Conrada, Zmęczenie, Prośba o dobrą śmierć, Trzy, Władysław
Bartoszewski. Wywiad rzeka, Władysław Bartoszewski ... mimo wszystko,
Świat według Mellera, t.1. Życie i historia: ku wolności, t.2.
Życie i polityka: ku przyszłości, scenarzysta filmowy i telewizyjny.*

O omlecie z ostrygami i cnocie sprawiedliwości,
o konfiturach i Dürrenmatcie, o zupie rakowej,
urodzie Antygony i kłopotach Kreona.

Zachwycające są *Wtajemniczenia* Michała Komara.
I bardzo smaczne.

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).